ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Niedziela 28 października 1934 r.** **Nr. [45]**

Wojciech Skuza

Hareśt

(Wspomnienie z r. 1918)

W izbie był tłok, duszno i kwaśno. Na kominie błyszczała lampka. Kiwała światłem wciąż. Za oknem padał deszcz. Był październik r. 1918.

— i powiadacie — mówił Wawrek — że trza iść do tych legjonów?

— aino!

— poco?

— będzie Polska!

— o — to znowu coś nowego! — Podobno teraz „cysorzy“ już nie będzie, pany ich wyrzuciły — a teraz będzie coś nowego — — —

— ej, gdzieby wam-ta, „cysorzy“ pany wyrzuciły!

— a kto?

— chłopy i robotniki: noród!

— ej, kumie, kumie — pleciecie tak, jak wiatrem płot grodził! Gdzieby-ta „noród“ brał się do „cysorzy“?!

— juści! Widzieliście zaś kiedy, żeby natenprzykład chłop albo robotnik wtaszczył się do pałaców królewskich?

— a kto?

— pany!

— a we Francji dawniej? — — A u Rusinów teraz? — Powiedzcie ino kto tam wyrzucił „cysorzy“ z pałaców? No — — —

— juści!

— chłop i robotnik!

— acha — — —

Padał deszcz. Za oknem marudził wiatr. W izbie radziły chłopy. Szemrał deszcz — — —

— to, kumie, jest tak: pany zwyczajnie są blisko „cysorzy“, opatrzą dobrze co, gdzie i jak — i — kiedy już widzą, że można co robić, wtenczas rozpuszczą po świecie ludzi, przygotują ich do ruchawki i zaczyna się. — — — Najpierw dużo obiecują, żeby przecie „noród“ ruszył się i ukatrupił tych, co na wierzchu—a potem dopiero oni sami już tam kłócą się o to, kto znowu będzie rządził — — —

Szemrał deszcz — — — omamlał szyby wilgocią: kropla goniła kroplę jak łza łzę.— — — W ogrodzie marudził wiatr. — — — W izbie była cisza i lampka kiwała wciąż światłem: tak - tak -, tak - tak — — —

Przez świat szła w grubych z juchtu butach jesień 1918 r. Na polach, w lasach i chałupach wyła bieda, jak ten pies w noc księżycową. Wojna rozłożyła już kikuty martwe nad światem i konała. Tu i ówdzie jeszcze drgał jej członek: ręka, palec, włos. Mózg jednak i serce wojny były już martwe. W powietrzu wisiał swąd spalenizny i cierpki smutek. Pola i drogi poorane szrapnelami dulczały smutne, dołami patrząc w mrok —

— — — wiał wiatr — — —

Z wiatrem, niewiadomo skąd przylatywały wieści do Nadwodzia, że wojna już skończona, że „cysorze“ zawiesili broń, że w Rosji, w Niemczech, w Austrji niema już cesarzy, że u nas teraz ma być — — — Polska — — —

Ludzie wracali do Nadwodzia, do ruin. W Nadwodziu hulał wiatr na zgliszczach chałup i cierpki smutek sterczał po polach. W powietrzu czuć było proch i zapach krwi — — —

— wiał wiatr — — —

— ciekawy jestem, kto to będzie nami rządził, jak nastanie ta Polska — ? —

— a czy nastanie, wiecie to pewno?

— juści: ma być!

— to się ta już zawsze ktoś znajdzie taki, co będzie rządził!

— a kto???

— — — Szemrał deszcz. Za oknem marudził wiatr — — —

— — —

— kto? — powiadacie!?

— juści!

— a chyba ci, co się o tę Polskę bili. Bo to tak jest: jak my się natenprzykład oba pobijemy o miedze i ja was spiere dobrze, to ustąpicie i miedzą ja rządzę. Tak samo jest i z — — —

— ej, nie bajdurzylibyście głupstw! Gdzieżby — wam rządzili ci, co się bili! Jakże to?! Chcecie natenprzyklad, żeby tą Polską, co to ona ma być, rządził wasz Michał, albo mój Jędrek, co się bije na wojnie? albo znowu Grzegorzów Karol, czy Tomaszów Pietrek, których zabili?!

— no, a kto?

— juści znajdzie się ta ktoś do rządzenia. Bo przecie ani wasz Michał, ani mój Jędrek nawet pisać nie umią — a — na to, by rządzić, trza się umieć podpisać!!!

— juści!

— — —

Stary Jędrzej dotąd nic nie gadał. Położył się na łóżku. Nogi oparł na krawędzi, poruszył się trochę, oparł głowę na ręce, zwrócił się gębą do izby i powiedział:

— teraz, jak będzie Polska — to będzie rządzić Konstytucyjo — — —

Chłopy zamilkły. Patrzyły po sobie z zaciekawieniem.

Była cisza.

— — — Za oknem marudził wiatr — — —

— jakto, kumie, mówicie: pani Konstytucyjo? A — cóżto, wicie, takiego? —

— uchwalimy ją!

— acha: wybierzemy, jak w gminie wójta!

— i — ona będzie rządzić?

— juści!

— ej, głupieś-ta, chłopy! To będzie tak: uchwalimy se takie prawo: co, gdzie i jak — to się będzie nazywać Konstytucyjo — i wedle tego prawa będą rządzić ci ludzie, co ich wybierzemy do rządów, jak natenprzykład wójta — — — Uważacie: to będą posły!

— i — moi drodzy — ci będą rządzić?!

— aino!

— cie - cie, to będzie dziwne: niby każdego z nas możecie wybrać i będzie rządził, jak wójt, byle się ino podpisać umiał — — —

— to tak: niby ktoś będzie rządził, a właściwie nikt!

— jakto?

— no, bo jakże uważacie, jak ta Konstytucyjo nie będzie żywą, ino taką na papierze, a wedle niej dopiero będzie każdy robił, co się mu podoba — — —

— juści to prawda!

— — —

— — — szemrał wiatr — — —

— — —

— to będzie jednak, kumie, tak, jak ja mówiłem: rządzić będą ci, co się bili. To już tak jest: bez bitki to nic niema!

— acha, wasz Michał będzie rządził — uśmiechnął się Wawrek.

— nie!

— a kto?

— pany!

— a — uważacie, czy to pany kiedy się biły? Czy natenprzykład widzieliście zaś kiedy, żeby jaki pan z karabinem szedł— — —

— aino! zobaczycie — — —

— mnie się widzi — odezwał się znów stary Grzela—że rządzić będą ci, co mają pieniądze, co zarobili na wojnie — i — co kierowali bitką — — —

— jakto?

— ano: zważcie, co się dziś dzieje: nie tak dawno, bo wczoraj dopiero był u mnie jeden Galon z Pacanowa i mówił mi, żeby powiedzieć na wsi, coby chłopy wstępowały do legjonów i biły się o Polskę. Mówił on, że kto nie wstąpi do legjonów i nie będzie się bił, to chociażby niewiem co się działo, to jak Polska nastanie, takiego zaraz wsadzą do hareśtu — — —

— jakże to — Grzegorzu — przecie u nas z Nadwodzia prawie z każdej chałupy ktoś był na wojnie — — —

— ale — bo to pany wiedzą o tem? — — —

— juści! juści!

Stary Jędrzej, który znów ułożył się wygodnie na łóżku i nogi oparł na krawędzi, milczał cały czas i słuchał rozmowy. I kiedy usłyszał coś o areszcie i o tem, że kto nie pójdzie teraz bić się, tego zamkną, kiedy Polska nastanie — podniósł się, usiadł na łóżku, oparł głowę na rękach i powoli, słowo po słowie, dobitnie, powiedział

— mnie ino dziwi, jak ta Polska nastanie — gdzie to będzie ten — — — hareśt!!? — — —

— — —

— — —

— — —

Za oknem była ciemnia, zimno i deszcz.

— — —

— — —

— — —

Bolesław Miciński

Na marginesie „Ludzi Genjalnych”

I.

Przed paru miesiącami ukazała się w przekładzie p. Hulki - Laskowskiego praca znanego neurologa i psychjatry z Tübingen, E. Kretschmera p. t. „Ludzie Genjalni“. Książka ta jest jakby dalszym ciągiem rozprawy „Körperbau und Charakter“, w której Kretschmer wskazywał na ścisłą łączność, zachodzącą między naszą strukturą fizyczną a psychiczną.

Znalazła w niej jakby naukowe uzasadnienie stara tradycja, która wykrystalizowała kilka zasadniczych szablonów typów ludzkich, wiążąc w nich usposobienie z wyglądem zewnętrznym. Wiemy wszyscy dobrze, że przysadkowaty grubas, z krótką szyją i krótkiemi nóżkami, z okrągłą, nalaną twarzą i wypukłym brzuchem, będzie i **psychicznie** zupełnie różnym typem od człowieka chudego i kościstego, którego wąska czaszka, osadzona jest na długiej, łodygowatej jakby szyi. Wiemy także wszyscy, że Mefisto ma twarz pociągłą i suchą, a dłonie podobne do szponów, i iż djabeł - grubas z ludowych bajek, jest w gruncie rzeczy dobroduszny i łatwowierny. **Przykłady** można oczywiście mnożyć w nieskończoność i przeciwstawiać poczciwemu Sancho-Pansie zamkniętego w sobie fanatyka — Don Kichota i t. d... i t. d.

Podział ten, poparty przez Kretschmera długiemi badaniami naukowemi, nie jest — rzecz jasna — bez precedensów w historji nauki. Mówimy dziś przecie o cholerykach, flegmatykach, czy melancholikach, a podział ten pochodzi od Hipokratesa (450 rok przed Chr.), który przypuszczał, że natura nasza uzależniona jest od czterech „wilgotności“, czyli humorów: krwi (sanguis), żółci (hole), czarnej żółci (melajna hole) i flegmy. Pomijając uczonych, do podobnej terminologji odwoływał się i **Stendhal**, dzieląc ludzi na klasy temperamentów: żółciowiec będzie wstrząśnięty wyrazem „Mojżesza“ Michała Anioła, podczas gdy na flegmatyku dzieło to zrobi małe wrażenie.

Jakkolwiek podział kretschmerowski jest najpełniejszy i jeśli chodzi o opracowanie naukowe, ma za podstawę wieloletnie studja, przeprowadzane nad psychicznie chorymi w specjalnym zakładzie, to przecież warto pamiętać o jego „antycypatorach“, których zdobycze i terminologja weszły już jakby w krew społeczeństwa.

Choć coprawda, już i kretschmerowska terminologja zaczyna zdobywać sobie popularność i coraz częściej słyszymy słowo „pyknik“, mające nam scharakteryzować poczciwego grubaska, czy „astenik“ na określenie kościstego odludka, choć mówiący nie zawsze umie wytłumaczyć skąd mu się taki termin nawinął.

Większą jeszcze popularność zdobędzie u nas niewątpliwie Kretschmer swoją pracą o genjuszu, a to ze względu na atrakcyjność tematu. Słusznie zwrócono uwagę, że nazwisko Pasteur'a pozostałoby nieznane, gdyby cały swój genjusz włożył w specjalne badania chemiczne! Wszyscy dziś mówią o Freudzie (podświadomość... kompleksy erotyzm...) tak jak mówiono przed laty o Lombrosie (genjusz — szaleństwo). Przecież Freud doczekał się dziś apoteozy i „naukowego“ opracowania w biblioteczce „Universum“ („Oscar Wilde — poeta homoseksualista“, „Kurtyzany japońskie“ à 25 gr.) i t. p., a Freudyzm staje się poprostu światopoglądem, odzwierciadlającym „ducha czasu: aktywizm, naturalizm, pseudomistycyzm“ *).

II.

„Genjusz... może graniczyć z szaleństwem, gdyż samo podniecenie pamięci czy wyobraźni, mogąc znakomicie sprzyjać rozwojowi genjuszu, pociąga za sobą równocześnie poważne niebezpieczeństwo dla samego rozumu“. (Dictionnaire de philosophie. E. Blanc).

Dla uniknięcia nieporozumień nie starajmy się odróżnić genjuszu od talentu, granice będą tu zawsze płynne, i dlatego lepiej jest mówić o różnicy stopnia. Pozornie kuszącem byłoby rozróżnienie, które Kant zastosował, wyodrębniając twórczość naukową od artystycznej. Otóż dla Kanta różnica leży w tem, że o ile artysta tworzy nieświadomie (jak przyroda), o tyle naukowiec zna zasady swojej twórczości i stąpa niejako krok za krokiem. Historja wynalazków zna jednak odkrycia spontaniczne, gdy umysł w gwałtowniejszym skrócie sięgał odrazu po wynik, gdy rezultat nie uświadomionej pracy ukazywał się nagle w pełnym blasku świadomości. „Pierścień benzolowy“ pojawił się swemu odkrywcy nagle, nieoczekiwanie... na dachu omnibusu, podobnie jak koncepcja „Werthera“, którą Goethe ujrzał jako jednolity obraz całości.

Goethe właśnie podkreślał szczególnie silnie pozapojęciowy charakter genjuszu: „sądzę, że wszystko co czyni genjusz, czyni nieświadomie“. Potwierdzili to jego rodacy: Nietsche i Schopenhauer. Dla francuskiego estetyka Dubos'a, genjusz — to zdolność, która pozwala nam łatwo i dobrze wykonywać tę pracę, którą normalny człowiek wykonuje źle i z trudem. Będzie to więc, ostatecznie, jakby zdolność przechodzenia od punktu **a**, do punktu **d**, z pominięciem ogniw pośrednich **b, c**. Jakaż jest jednak istota tej zdolności?

Kretschmer przytacza nam jako przykład pewnego poetę syrakuzańskiego, o którym opowiada Arystoteles: „Tworzył on doskonale poematy, gdy cierpiał na manję, a przestał pisywać wiersze, gdy wyzdrowiał“ w platońskim „Fajdrosie“. Sokrates zwraca uwagę na różne typy szałów, albo — jakbyśmy dziś powiedzieli — psychoz. Czy wszystkie zasługują na potępienie? Przecież „my największe dobra zawdzięczamy szaleństwu“ — mówi. „Przecież ta prorokini w Delfach i owe kapłanki w Dodonie już wiele dobrego zrobiły ludziom i państwom helleńskim w szale, a po trzeźwemu mało co, albo i nic“. Taki szał nazywa Platon „apollińskim“, albo wieszczbiarskim i dalej wylicza szał dionizyjski, „który od muz pochodzi i natchnienia“, szał Erosa... Są to psychozy, stany patologiczne, a przecież najwięksi poeci to szaleńcy i „kto bez tego szału muz do wrót poezji przystępuje, przekonany, że dzięki samej technice będzie wielkim artystą, ten nie ma święceń potrzebnych i twórczość szaleńców zaćmi jego sztukę z rozsądku zrodzoną“. Są szały złe, niszczące, ale są i zbawienne, jak te, które Bóg nam zsyłać raczy“. Do nauki tej nawiązał romantyzm.

Skoro świat jest wytworem fantazji, skoro wszystkie akty rozpętanej bez granic wyobraźni są à priori uzasadnione, mógł Novalis dopatrywać się w twórczej inspiracji nadmiernego i chorobliwego wręcz podniecenia, a nawet Wieland wysławiać twórczy obłęd poety. Podbudowa jednak, którą kładli pod swoje hasła, była chwiejna, tezy arbitralne, a całość daleka od naukowego uzasadnienia, które usiłował później dać Schopenhauer. Nie można — zauważył on — odmawiać szaleńcom naogół zdolności rozumowania. Rozumieją oni i postrzegają naogół prawidłowo, zawodzi natomiast ich pamięć. Stąd wynika przenikanie się teraźniejszości z przeszłością, które w oczach obłąkańca jawią się niejako wyłamane z perspektywy i kolejności następstw. I tu właśnie zdaje się graniczyć szaleństwo z genjuszem, który transponuje postrzeżenia i rozumowanie poza teraźniejszość, w wieczność, ujmując tylko to, co stałe, niezmienne i istotne, stąd wypływają stany manjakalne, sparaliżowanie aktywności życiowej i t. d. Istotnie, wykaz nazwisk osób wybitnych, a obarczonych ciężkiemi psychozami, jest zdumiewająco duży. Krzysztof Kolumb był paranoikiem z manją religijną, epileptykami byli: Mahomet i Dostojewski, umiemy odnieść wzloty Nietsche'go do euforji luetycznej, znamy tragiczne dzieje Maupassant'a, Van Gogha, Rousseau'a, czy Schumanna.

„Na tem polega szkaradna gra przyrody, że tak często w ludziach, skazanych już na śmierć, wywołuje ona bez wszelkich zewnętrznych powodów jasne strony duszy, opromienione pięknemi nadziejami. Wiemy przecie, że ten płomień, co tak nagle wybuchnął — wkrótce zgaśnie na zawsze, wiemy, że choremu grozi stan rozpaczy równie ponurej, jak jasne było owo pozorne szczęście... Wiemy to wszystko — i oto spotykamy tego człowieka: idzie z wysoko podniesioną głową, lekkiemi krokami, na jego wargach dumny uśmiech zwycięzcy“... — „oto portret twórcy „Zaratustry“ i następnych dzieł“ — dodaje profesor Zieliński, przytaczając słowa szwedzkiego lekarza Bjerre'ego, który ekspertyzę psychofizycznego stanu Nietsche'go, opanowanego już paraliżem przekazał w swojej książce „Genjalny obłęd“.

Bogaty wykaz powszechnie znanych przypadków ciężkich zaburzeń psychicznych, poparł Lombroso nieskończoną litanją nazwisk. Coprawda ułatwił sobie zadanie, biorąc za genjuszów wszystkich niemal pisujących wiersze „poetów“. Pozwoliło mu to rzucić słynne hasło: genjusz — obłąkanie. Na tej podstawie usiłował on wyznaczyć naturę genjusza, sprowadzając go do psychozy z grupy epilepsji. U człowieka genjalnego nadmierny rozwój jednych władz niszczy drugie, rujnując żołądek, mięśnie, nawet kości. Pogląd ten poparł nową tezę, która miała wykazać łączność ewolucji z degeneracją. Doskonały wzrok ptaka, okupiony jest zanikiem powonienia, a narody najbogatsze w ludzi genjalnych, odznaczają się równocześnie największą ilością kretynów i warjatów.

O ile metoda Lombrosa nie wytrzymuje dziś krytyki, o tyle naczelna jego teza o powinowactwie genjuszu z obłędem ma szereg poważnych zwolenników. Podobne poglądy głosił już przecież Schopenhauer, który.. równocześnie paradował w wykazach Lombrosa jako chory umysłowo. Również i niemiecki znakomity filozaf - historysta Dilthey wskazywał na podobieństwo, zachodzące między poetycką fantazją a obłędem.

Znaleźli się jednak i zwolennicy tezy wręcz przeciwnej, jak Marcelli i Nordau, dla którego genjusz jest wytworem normalnej przemiany biologicznej. Dzieła prawdziwie wartościowe tworzą właśnie typy zdrowe dziełem zboczeńców są jedynie utwory chorobliwe. Znamy genjuszów obłąkanych, ale też znamy i zdrowych.

Oto dwie przeciwstawne sobie grupy uczonych w poglądach na istotę genjuszu. Do której zaliczymy teraz Kretschmera? W każdym razie nie do drugiej. Dla Kretschmera biologiczne upośledzenie człowieka genjalnego, jest oczywiste i nie podlega wątpliwości.

III.

Jest jednak również postawa trzecia, reprezentowana przez francuskiego filozofa Ribot. Dla Ribot'a stan neuropatyczny może być zarówno przyczyną specjalnego uzdolnienia, jak i wynikiem umysłowego wyczerpania. Dlatego nie wolno nam mówić o związku przyczynowym, zachodzącym między obłędem a genjalnością, ale jedynie o ich współistnieniu. W ten sposób Ribot nie narusza tajemnicy genjuszu jak i rodak jego Dubos w XVIII w. Nie możemy ująć istoty genjuszu, możemy wskazać tylko na wtórne przyczyny, które wyznaczają jego rozwój: Genjusz jest rośliną, która rośnie sama z siebie, ale gatunek i ilość owoców zależą od uprawy. Dwoje dzieci o identycznej budowie mózgu, stanie się różnemi ludźmi, jeśli jedno będzie się wychowywało w Szwecji, drugie w Andaluzji. Jednem słowem: powietrze, klimat, ziemia, mają swój wpływ na genjusza, ale... tylko tyle. Nie usiłuje jednak Dubos rozwiązywać na tej drodze tajemnicy twórczości i genjuszu, jak to trywialnie zrobił Hipolit Taine, który chciał badać umysły tak, jak przyrodnik ciała organiczne, zapominając, że nie możemy postawić ani jednego umysłu w odmiennych warunkach, aby móc — jak tego wymaga metoda doświadczalna — śledzić rozwój i zmianę pod wpływem nowych okoliczności.

Dlatego wzorem naukowca będzie np. stary Dubos, który nie szuka „pierwszych przyczyn“ i umie milczeć, wobec zagadnienia, którego rozwiązać nie potrafi. Natomiast ci „najtrzeźwiejsi“ nawet, jak Taine czy Lombroso, sami mimowoli podpadną pod pewną klasyfikację psychologiczną i zaliczeni zostaną (o ironjo!) do kategorji naukowych romantyków, o których mówi się, że podobni są do kukułki, która złożywszy jajo, nie troszczy się o jego dalsze losy.

O nich to myślał zapewne Franciszek Bacon, gdy mawiał, że umysłowi ludzkiemu nie skrzydeł potrzeba, ale ołowiu. Oczywiście pod warunkiem, że się niema ciężkiego jak ołów umysłu. No — ale wtedy to już i skrzydła nie pomagają.

*) X. Pastuszka. „Filozofia Współczesna“. Tom I. 1934.

Wincenty Burek

Jedynak

Aż głucho w chałupie, tak warczą na siebie wściekłe słowa, parkotają krzykiem i furją niezhamowaną. Słowa doskakują do słów, jak zganiane psy, nieopamiętane, wzburzone, spalone gorączką złości. Kłębią się w ścianach izby, kotłują w chyżych miotach, bałwanią się i gromko rozpękają w dziki wrzask, w dudniący grzmot. A śród tego nieustannego grzmotu co raz to wylatuje, podobne żądłu pioruna w czas nawałnicy, wciąż to samo namolne i bez odmiany:

— Oddej. Oddej. Rabusiu, oddej!

Skoślawiły się te słowa, podarły i ochrypły. Już nie słowa, nie jeden rozdłużony gadzi wizg przelewał się z gardła rozjuszonej baby, całej w skurczu złości i krzyku. Złość rozmachała jej ramiona dygotką, rozczapierzyła paluchy, to znów zwinęła twardą pięść groźby i pomsty. Złość sypnęła na gębę popiół i ustawiła się oczami — węglami. To nie sąsiadka, nie Krysina stoi w progach, ale jakaś furja ciska się w chybkich podrygach, i wrzeszczy, i piekli się, i nic ino to jedno:

— Oddej, zorazo. Oddej!

Stach Płaza czuje, że jeszcze chwilę, a nie będzie już mógł strzymać tego babiego darcia. Ręka aż swędzi, żeby chwycić jędzę za bary i wycisnąć z izby na pysk. Gorące fale biją do głowy i zalewają mózg, coś podrywa z miejsca i pcha gwałtem do rozprawy. Resztką zastanowienia broni się chłop przed bodącą chętką, chce papierosem uciszyć ten swój niespokój, ale i papierosa ulepić nie sposób, ręce dygotają, machora sfruwa z bibułki na ziemię. Tyle się nagadał, tak natłumaczył babie na różny sposób, w garle mu zaschło od krzyku, żeby ją przegadać, wziąć górę siłą głosu — i wszystko naprózno. Nie poradził. On to — ona tamto. Ani tak, ani siak — z babą nie pokurasz, gdy się na czem uprze kamieniem. A ta Krysina uparła się, złomać, i ani ją przeprząc. Uparła się, sekutnica, i widać się jej nie sprzykrzy bluzgać temsamem:

— Oddej!

„Wypchnę ją, to mi skocy do oców. Narobi wstydu"... — waguje się Stach Płaza i przebiera w myślach, co robić z babą. „Jesce pocirpie małowida. Jak się dartus wybrecho, wybrecho, to moze jako da se przecie roztłomacyć". Trochę spokojniejszy, znowu popróbował zwinąć kłaka machory wóli palenia.

Schrypły jazgot Krysiny zaczął się powoli przesilać i przemienił się po czasie w świszczący, jadowity szept. Baba wyraźnie ustała. Rękę przywarła do piersi, jakby tym ruchem chciała uciszyć burzę, co się w niej tam w środku rozdokazywała. Zasapany oddech wylatywał z otwartych ust. Zdyszanym głosem zachrzęściła:

— No, oddos mi, cy nie! Musis. Nie ustąpie.

Stach Płaza spostrzegł, że nareszcie baba odnalazła dla swojego głosu jakieś łagodniejsze nuty. Że może wreszcie uda mu się uładzić rozżarty gniew. Ano i trafić perswazją w upór nieprzewalczony. Cmoknął dyma raz — drugi, splunął i sprawiedliwem rozebrzmieniem słów odpowiedział:

— Co ni mom oddać. Oddom. Zaroz oddom, jak ino bede mioł.

— A mnie teraz potrza. Wis, ze piniodze gwołtem są mi potrzebne.

— Jo wiem, jo wom nie zapirom, ino skąd jo tyle wezne? Przecie nie stworze...

— A co mi do tego. Skąd chces, to bierz, a jo swoje mić muse.

— Musicie?... — Głos zatrząsł się chłopu raptem.

— A co! Zabrołeś moją prace i teroz nic se nie myślis? Dokąd bede cekała!...

Siaki taki spokój w gadaniu rozburzał się podawnemu śród pospólnych kwasów, a ponajwięcej od inakszego patrzenia na tę samą rzecz, Krysina odsapnęła widać natyla, ażeby skrzepić se głos, bo zniebaczku trzasnęła Płazę warkliwym krzykiem:

— To jo dlo ciebie, rabuśniku, chowałam, trypciłam, zaskakiwałam? Chciołeś pozycyć, pozycyłam. A teraz oddej, oddej, bo cię tu ozedre!...—I wyciągnęła szponiaste, rozstawione palce rąk ku Płazie.

Płaza wodził za nią oczami i nic się nie odzywał. Coraz teraz poglądał na swoją kobitę, uwijającą się pośród dziecek i wedle komina. Był ugnębiony tem zdarzeniem, zmordował się kłótną niczem jakim ciężkim harunkiem. Poczuł, że sekutnicy nijak nie przemoże. Ani złością, ani rozwagą słowa, ani cierpliwością —nie przemoże. To już poszukał spojrzeniem oczu swojej Baśki, jakby u niej chciał poczerpnąć nowych sił do walki.

Płazina nie mieszała się do sporu ani półsłówkiem. Cierpła ino za każdym co sroższym napędem kłótni, a w duszy czuła taką gorycz, jaką się ma od niezasłużonej krzywdy. Bo i jakże, Boże mój kochany! Przecie robią w domu wszyscy dowyrypu, nie dośpią, nie dojedzą, nie użyją nic dobrego, a do tego długu, co ulągł się w dobrych czasach, ani się odpętać. I niema nieraz dnia, żeby kto nie przyszedł z krzykiem, z zemstą, z podłą klątwą. Daj i daj — nie nastarczyć tego dawania. Pożyczyłeś na raz w gębę, a teraz oddawaj cały śpichlerz. Co za świat, co za czas!...

Wczoraj wieczór przylazł Siajniasty Stasiok, siadł se w kątku jak jaki bidulak bez portek, choć sam nie wie co robić z pieniędzmi, stęknął żałośliwie i nic ino: „E! e! kumie, myślcie, myślcie!". Dzisiaj zrana przygnał o milę Gruby Kaźmirz — i dalej cholerować i ściągać klęsk i pieronów. A teraz oto ta Krysina godzinami zadręcza i piekłuje, że aż człowiek od rozumu odchodzi. Że już same ręce opadają. I coś się tam w tem sercu budzi takiego, srogość taka na nich, na tych wierzycieli niemiłosiernych, harpeźnych, chciwych na ostatni pot dłużnika. Och, i ta Krysina popłakuje na swoją krzywdę! Na krzywdę...

Płazina podchwyciła wzrok chłopa, bezradny i proszący. Weszła w nią, łagodną kobitę, siła i odwaga. Zahamowanym, a przecie rozdygotanym głosem zapoczęła:

— Kumoska, sami wicie, z cego zeście nom pozycyli.

— Juści wiem. Uchowałam wieprzka i dałam. — Harda odpowiedź Krysiny dziwnie się nie stroiła ze słowami tamtej.

— I jo chowam i tyz nie przemarnuje. Uchowaliście wieprzka, sprzedaliście i pozycyliście nom. No, a my sprzedaliśmy może jesce wiekszego i oddaliśmy wom. I duzośmy oddali? Odrobine, cęstecke nieduzą.

Krysina wlepiła oczy w Płazinę i nie wiedziała co na to powiedzieć. Z tej miny przeglądało niedorozumienie — do czego ta Stachowa pije? Cóż tu ma jedno do drugiego!

— Kumoska, wicie co wom powiem? — ośmieliła się Płazina.

— No.

— Dołoze wom jesce dwie paśne świnie... dodam do tych dwóch jesce jedną — i kwita z wami i z nami, dobrze?

Krysiną jakby ukropem oblał przy tych słowach. Wizgnęła, zatupała nogami, zaczęła ciąć rękami naoślep koło siebie i co sił w piersiach prysnęła:

— Co?! Jo tu do wos na przekpinki przysłam? Przysłam po moje. Oddać co mi sie nolezy! Natychmiost, bo kumornika... — Spieniony bełkot rozlał się śród ścian, coraz dzikszy i szaleńszy.

Płaza porwał się na nogi i leciał ku rozszalałej babie. Chwycił ją za ramię...

— Ty siafandulo, ty rapulo, ni mozes zładować piniedzy?... — ziała mu prosto w gębę straszliwą złością. — Jak ni mozes, witołego, to idź do swojego tatusia, zeby ci pokozoł jak sie gospodarzyć. Jak mić piniodze. Do ojca sie idź ucyć, ty! I niech ci ociec da, a trza oddać, c się komu winne. Idź do ojca, jedynoku! Do ojca!...

Płaza Krysiny z izby nie przegonił. Kiedy Krysina wymówiła słowo „ojciec", Płaza wzdrygnął się znagła, odsunął rękę od baby i stał pośrodku izby bez słową i ruchu. Czerwona łuna oblała mu jagody i nie schodziła. Pod nawisłemi wąsami po wargach zaciśniętych przeleciał żałosny uśmiech.

*

Słowa Krysiny roztworzyły w Płazie niezagojoną ranę. Przez tyle — tyle lat paprała się ta rana, już widziała się niekiedy zasklepiona, ażeby przy ladajakiem zdarzeniu odkryć się oczom i boleć. Boleć najgłębszą boleścią serca. Cichą, skrytą, mówioną tylko najbliższym.

Ojciec...

Ile razy wymówił kto to słowo, kiedy ino padło ono Stachowi Płazie na myśl, wtedy zawsze ściskało się chłopu serce od ciętego bólu. I długo, długo siedziała w sercu zadra, niczem nie ułagodzona, nie do wyrwania. Śród trudu gospodarskiego, codziennych pilnych zabiegów, srogich zmartwień i nikłych radości nie przepominała się wcale i coraz dawała znać o sobie. O, choćby i dzisiaj. Tak ni stąd ni zowąd...

A przecie ten ojciec ma go ino jednego na świecie. Jedno dziecko, jednego syna — jedynaka. Ale ojciec jakby tego wcale nie wiedział, czy nie chciał wiedzieć. Zbył se z głowy chłopaka, skoro Stach do lat doszedł, wypchnął go z domu do ożenku — i rób sobie, jedynaku, jak tam chcesz. Jego, ojca, już głowa boleć nie będzie, czy ci wypadnie w życiu tak czy owak. Co jemu do tego.

Stach - jedynak nie brał sobie wtedy bardzo do serca, że ojciec wypuszcza go od siebie tak bidnie — bez morgi wiana i bez grosza na pierwszy początek. Był młody, dzielny, gospodarny, to na co mu się oglądać na ojcową pomoc. Sam se da radę bez ojca. A co mu się po ojcu należy, to nie przepadnie. Przyjdzie wkiejś czas na to. Ojciec przecie wiekował nie będzie.

Z trochą grosza po nieboszczce matce przyszedł Stach Płaza z rodzinnych Dobrocic na Ocinek. Niezgorzej się tu ożenił, samo szczęście od samego początku zaczęło mu się zapowiadać. Ale jak to szczęście: pokazało się oczom i wnet przepadło. W jednym roku chrzciny synusiowi, a już w drugim pochowek kobicie musiał Stach porządzić. I wiano kobiecine od niego pod czas odeszło, bo sierotkę zabrały dziadki do opieki, żeby chłopaczka wychować, a jak urośnie do pełnych lat, to mu dopiero całą matczyną część oddadzą.

Dobrze, że wycofał od teściów swoje pieniądze i mógł jeszcze zakupić kawał pola z pobudynkami. Wpręce padła wojna, i coby to było, gdyby nie miał swojego oparcia, ej! Do ojca iść? Kiedy ojciec właśnie drugi raz się ożenił, gospodarzył z nową kobitą, dorabiał się, jak zmłodu, a synowe strafunki nic go nie obchodziły, Twardy ojciec. Stach Płaza i teraz też na ojca nie pytał, ino się bez niego opętolił i wespół z dzielną Baśką zaczynał odnowa gospodarski żywot. Dał sobie radę — i jak jeszcze. Miał dostatek, żył porządnie, galanto się pobudował. Darzyło mu się wszędzie i na wszystkiem, Pan Bóg zesłał kilkoro dziecek, zdrowych, grzeborliwych. Nawet mu przez myśl wtenczas nie przeszło, żeby mieć pretensję do ojca, co tam w Dobrocicach bezdzietnie żyje, służące dziwki krowami i wianem obdarza, na pieniądzach leży, a jedynakowi dać co - to się nie omyli, Stachowi Płazie łaski ojca nie były wtedy potrzebne.

— O, ociec. Gospodorzem byli i będą. I to nie ladajakim... —mawiał nie bez dumy z każdym, kiedy się już zgadało o dobrocickich Płazach.

I żyliby ojciec i syn, ten sobie i ten sobie, ten tu a ten tam, jeśliby żywot dla obu jednako się rozścielił. I żalby się w synu na ojca nie narodził, ani rany serdeczne, gdyby to wszystko szło w świecie i w domu na zdrowie i pożytek. Przyjdzie odmiana na złe— i radź-no tu, człowieku!

Nie poradził, nie mógł sobie poradzić Stach Płaza, gdy ciężka piersiowa choroba chwyciła kobitę i mordowała długo. Był jaki zakład w gotowym groszu, to się rozwiał na doktorów, na babki, na lekarstwa i pomoce. Dużo tysięcy trza było pożyczyć na ten daleki wyjazd, na długie tygodnie leżenia w Zakopanem. A tu jeszcze odmienił się czas, dotąd dla chłopa łaskawszy. Czas naniósł na wszystkich tyle bid przeróżnych, rozplęgłych przez taniznę chłopskiego dorobku, że i poradzić niełatwo kłopociskom. A gdy się ma gromadkę dziecek do wyżywienia i ogarnięcia, a jeśli nadobitkę przyjdzie znista i upadek ze srogiego trafu, no to już wtedy nie wydołasz, choćbyś niem jak zabiegał. Trza pójść do ludzi za pożyczką, musowo trza, i już leży oto jarzmo i twardy obowiązek, ażeby na procenty obracać trudy całych lat.

Płaza zalazł w dług. Nie martwił się nim, bo zdrowie cenniejsze, aniżeli ten ciężar, wzięty na bary. Odda się, co się nie ma oddać. Aby ino zdrowie...

I harowali ile sił oboje, doganiali dorastające dziecka, całą hurmą domowych ciekali około roboty, aby ino obegnać się przed wydatkami —i dług oddawać. Z wielką bidą, ale dług topniał, powolutku, ale malał. Już się im widziało lżej, jaśniej.

Ale nowa okazja stała napodorędziu.

Chłopak - podrostek, po pierwszej kobicie wrócił do ojca. Dziadki powymierały, majątek się podzielił, trza było i jemu zabierać swoją część po matce. Ano i dług niezgorszy razem z tą cząstką. Płaza przygarnął chłopaka zawraz z ziemią i nowych parę tysięcy dołożył do swojego długu. „Z większej posiadłości więcej przecie grosza zegnać się powinno" — myślał. A juści, nie inaczej.

Płaza zganiał doroku akuratnie tyla, żeby poodawać narosły przez rok procent. Na wielką siłę, jeśli już nieomal od gęby sobie odjął, to umniejszył kapitału o jaką odrobinę. O oddaniu sporszej sumki zamarzyć nawet było trudno. Choć głową tłuc o mur, więcej się z gospodarki dzisiaj nie wyciągnie. Na nic staranie, na nic umęczenie.

W frasunku, w gorzkich myślach łączył swoją dolę z dolą bogatego ojca, przymierzał, rozpatrywał. Ciężko mu było pojąć tej sprawy. Jakto? To on się zabija, latami morduje, a ojciec — jakby nie rodzony ojciec. Mało, że rady nie przyniesie, ale się nawet nie spyta, jak jedynak z bidą się ułatwia. Jakby go wcale nie obchodziło, co u syna słychać. A przecie napewno wie od ludzi, co się dzieje u młodych. Wie, a udaje, że nie wie.

Już nie ciężar ugniotu, ale obojętność i sobkostwo ojca zaczęły srogo doskwierać Stachowi. Nieraz głęboko się zadumywał i wzdychał. Cierpienie nasilało się od tej rany, tak piekącej w nieustannem doskwieraniu przy każdej myśli o tamtym.

— Oj, ociec uni, ociec. Ojcym byłby lepsy.

Kiedy chłopak - sierota po pierwszej kobicie rozchorował się na płuca i było z nim coraz gorzej a z leczeniem coraz ciężej, bo i skąd brać tego grosza na wydatek donośny, zdjął Stach Płaza dumę z serca i przy jarmarcznej okazji wyłożył ojcu — jak i co. Że nie chce, żeby mu ojciec dawał jaką pomoc, nie, niech chociaż pożyczy z trochę, niech na procent pożyczy, na weksle. Uczciwie zwróci na czas, jeszcze fundę sprawi z wdzięczności. Dziś przecie nikt mu pożyczyć nie chce. Nie ma gdzie się udać.

Stary odrazu skręcił z miejsca:

— O, ni mom. widzis. Miołem troche, tom spłacił rote za ten dywon do klioonoskiego kościoła. Wyciągnąłem sie. Som wis, co to kostuje. — Wiedział Stach Płaza, co kosztują ojca owe dywany, ołtarze i różne kupna do kościołów okolicznych. Wiedział on i okolica ile ofiar wyłożyły na boską chwałę bezdzietne Płazy z Dobrocic. Płynęła im stąd sława niemała i głośna. Sam prałat wielbił i wynosił w sandomierskiej katedrze te uczynki i ofiary nabożne. Ktoby ta nie słychał o dobroczyńcach?

Dobrocicki Płaza ocińskiemu synowi grosza nie pożyczył. Zaś niezadługo pomarł Stachowi ten chłopak, a żałości po jego śmierci nie ulżyły ludzkie życzliwe języki. Żywo doniosły zbolałemu Stachowi, że — o, właśnie jego ojciec pożyczył temu tam dwieście, a inszemu trzysta...

Długie lata boli Stacha Płazę ta skryta serdeczna rana. Imię „Ojciec" jątrzy ją i rozpieka żywym ogniem męki.

*

Drzwi chybotają się jeszcze w zawiasach, jakby się trzęsły z żałości, że ta Krysina tak srogo się z niemi obeszła. I choć baba wypadła już na dwór, ale w izbie buczą jej cięte słowa i gryzą jak podrapane osy.

— Oddej, rabusiu, co moje!...

Na kominie kipią garczki, swąd unosi się znad blachy. Płazina jakby zapomniała ze szczętem, co jej trza robić. Dziecka siedzą markotnie po kątach i się nie odzywają. Stach Płaza zmartwiał i poszarzał. Stoi wpodle okna, pogląda na drogę, ale na tej drodze widzi ino w oczach ten kształt, tak drogi sercu i tak temu sercu oporny. Ojciec jest na oczach. Ojciec!

— Trza widać pość — odwrócił się na izbę.

— Gdziez chces iść? — ledwie się pyta kobita.

— Gdziezby! Do ojca.

Płazina woli się więcej od chłopa nie wyświadczać. Przecież miarkuje, że mocno musiało mu dogryźć to piekło od sekutników. A już ta Krysina, co z jego ojcem wyjechała, to chyba najwięcej. Że dojechała, to dojechała — Płazina wie, jak silnie chłopu dopiekła. Palnęła w delikatne miejsce — i widać dobrze trafiła, skoro Stach chce iść tam. Nigdy tam w pilnych ciężkich przygodach nie bywał. Jeśli bywają u siebie, to tak familijnie, żeby się raczyć przyjęciem i gadać o zbiorach i pogodzie.

Chłop przywdział lepsze szmaty, wziął z kąta antypkę i bez słowa wyszedł z chałupy. Nawet nie zauważył, kiedy się znalazł w tych stronach, tyle pamiętnych z chłopackich czasów. Cichy żal wylązł z duszy w Pęczynach za tamtemi latami, kiedyto się hulało i wybijało nogami kawalerską fantazję na Rybikowem graniu. Uśmiechnął się do dobrocickich łąk, gdzie się tuzował z Pielaszowiakami. O, i wieś rodzinna na podrzeczu: pod drzewiastym baldachem ciągną się chałupy Siudaków, Pronobisów, Piekosiów, Młodożeńców. A dalej jeszcze wąwozik, las, Podlasie — i zza zakrętu prymią się już znajome, paradne, ojcowe pobudynki. Warkliwy Gudłoj ciska się na łańcuchu. Niedziwota. I on broni przed obcym.

Stach Płaza zaraz od furtki zauważył, że na oborze niema woza. „Widać są w polu" — pomyślał. Wszedł do sieni. Rosła i strojna służąca dziwka miesiła w cebrzyku żarcie dla świń.

— Pochwalony!

— A na wieki! — Okrągła jak miesiąc, spasiona gęba dziewuchy nakierowała się na chłopa. Oczy patrzyły hardo i jakby złośliwie. Widać dużo o synu swojego gospodarza słychała i wiedziała.

Stach obrzucił ją wzrokiem i spostrzegł zaraz tę górność. „Widzicie, kocmołucha! Jak sie to patrzy na człowieka" — rozleciało się mu w myślach. „Nie inacy, ino ładuje sie ji tutaj krową i porządne wiano z weselem. Ociec są miłosierni dlo sługów..." I dodał nagłos:

— Ociec wdoma?

— Nima. Oboje pojechali.

— Gdziez pojechali?

— A do Jonikowa. Bedzie temu ze dwie godziny.

— Do Jonikowa! Co tam mają za interes?

— A po figure. To jesce nic nie wicie?

— Nie słychom. Po jaką figure, powidzze!

— A figure stawiają kole smentorza w Malicach. Sprzedali ciołka, świnie, mieli trocha swoich pieniedzy i kupili figure za śtyrysta złotych. — Słowa służącej dziwki grzmiały dumą i przechwałką, że, patrzcie, u jakiegoto ona gospodarza służy!

Płazę jakby kto po łbie zdzielił. Prośba, piekący interes, wszystkie dobrane do tego słowa leżały porozbijane o ten kamień janikowski. Niema co czekać. Obrócił się ku drzwiom.

— Ej, a cegoście chcieli? Cego uciekocie!... — leciały za nim kpiące słowa.

Stach Płaza już ich nie słyszał. Nacisnął kaszkiet, wypadł z obory, jakby przed kim uciekał, i gnał dużemi krokami po tej samej drodze, którą co ino przyszedł. Czasem przystanął, żeby złapać tchu, i wtedy chrapliwy mamrot przeplatał się z wydechem;

— Aa! Figure stawiają. Figurę!...

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH.

ANDRZEJOWSKI Z.: Tajny front. Powieść, 8°, str. 256, Warszawa 1934, S. Cukrowski. Zł. 3.90.

BIERBAUM A. C.: Z Bogiem. Rozmyślania dla świeckich, z niem. przełożył Ks. Fr. Ilków, 8°, str. 641, Kraków 1934. Wyd. Ks. Jezuitów. Zł. 5.

BOCHDAN-NIEDENTHAL MARJA: Ucayali. Raj czy piekło nad Amazonką, z 38 ilustr. z mapką, 8°, str. 165, Warszawa 1935, Dom Książki Polskiej. Zł. 5.50.

BOUKOŁOWSKA E. i KOTARBIŃSKI M.: Ćwiczenia z zakresu geografji i przyrody, I, z 16 rys., 8°, str. 96, Warszawa 1934, Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

BRENSZTEJN M.: Dionizy Paszkiewicz, pisarz polsko-litewski na Żmudzi w pierwszej połowie XIX w., 8°, str. 112, Wilno 1934. Księgarnia św. Wojciecha. Zł. 5.

COURTHS-MAHLER J.: Gdyby życzenia zabijały. Powieść. Przekład E. Solskiej, 8°, str. 256, Warszawa 1934, S. Cukrowski. Zł. 6.

DISZARD J. KS.: Wielki misjonarz ludowy czasów naszych O. Franciszek Tarin 1847—1910. Przeł. z franc. Ks. M. Malaczek, 8°, str. 225, Kraków 1935. Wyd. Ks. Jezuitów. Zł. 1.80.

LITWIN A.: Organizacja wycieczek na podstawie nowych programów szkoły powszechnej, I, II, 8°, str. 82, 83, Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

LUCY J.: Badacze życia. Przekład z ang. z przedmową i pod redakcją prof. dr. J. Wilczyńskiego, z 127 ryc., 8°, str. 488, Warszawa 1934, Gebethner i Wolff. Zł. 9.

MAKOWSKI W.: Reklama polityczna a t. zw. wola społeczna. Wyd. 2-gie, 8°, str. 54, Warszawa 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 1.50.

MISSONA K.: Inscenizacja Pana Tadeusza A. Mickiewicza, ułożoną w 9 odsłonach. 8°. Str. 90. Kraków, 1934. Tow. Szkoły Ludowej. Zł. 1.50

MICKIEWICZ A.: Pan Tadeusz. Tekst na podstawie pierwszego wydania. Przedmowa prof. dr. M. Kridla, z 24 ilustr. E. M. Andriollego. 8°. XXIII, str. 360. Warszawa, 1934. J. Przeworski. Opr. Zł. 7.50.

MROZOWICKA IRENA: Frankowy testament. Sztuka ludowa w 3 akt. ze śpiewami i tańcami. 8°. Str. 45. Lwów, 1934. Spółka Nakł. Odrodzenie. Zł. 1.50.

POBRATYNIEC - PŁATKOWSKI J. S.: Z pieśnią na ustach w bój. Sztuka ludowo - niepodległościowa w 3 akt. ze śpiewami. 8°. Str. 95. Lwów, 1934. Spółka Nakł. Odrodzenie. Zł. 2.

POLLAK JÓZEF: Pochód ku słońcu. Cz. I. Natasza. 8°. Str. 326. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 4,

RAORT W.: Jacuś Niecroba i jego przyjaciel. Komedja ludowa w 3 akt., 8°. Str. 61. Lwów, 1934. Spółka Nakł. Odrodzenie. Zł. 2.

RUXER M. S.: U źródeł sztuki greckiej i rzymskiej. 8°. Str. 22, z 10 rys. Poznań, 1934. Księgarnia św. Wojciecha. Zł. 0.60.

RUXER M. S.: Z ateńskich wspomnień uniwersyteckich Aulusa Gelliusa. 8°. Str. 24. Poznań, 1934. Księgarnia św. Wojciecha. Zł. 0.60.

SONDEL JAN inż.: Działacz społeczny w środowisku wiejskiem jako oświatowiec, wychowawca, organizator, psycholog, socjolog i ekonomista. 8°. Str. 219. Kraków, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.50.

TOMASZEWSKI ADAM dr.: Mowa ludu Wielkopolskiego. Charakterystyka ogólna, z 2 mapkami. 8°. Str. 55. Poznań, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.50.

TÓTH T.: Życie piękne i czyste. 8°. Str. VIII i 167. Poznań, 1934. Księgarnia św. Wojciecha. Zł. 3.

TYSZKIEWICZ S. inż.: Przyczynek do wyjaśnienia kwestji dwu zasiągów świerka w Polsce. 8°. Str. 16. Warszawa, 1934. Biblioteka Polska. Zł. 1.

Adolf Nowaczyński

Zoszczenko w liberji

Biełomorstroj, czyli kanał, łączący Białe Morze z Bałtyckiem, wykończony został na początku zeszłego roku. Kanał zaczynał się pod miastem Soroką, nad Białem Morzem, przechodził przez jezioro Onegę i Ładogę, łączył się z Newą, a kończył w Fińskiem Morzu pod Leningradem. W każdym razie coś gigantycznego i kolosalnego, całkiem na wyżynie wielkich budowlano - inżynieryjnych wyczynów rzymskich lub egipskich. Sam pomysł wyszedł z głowy Henryka Grigorjewicza Jagody, łodzianina, który lat temu trzydzieści omal przeniósł się w głąb Rosji carskiej, tam oddał się głównie robocie rewolucyjnej, zaprzyjaźnił z Gorkim, ożenił się z krewniaczką Swierdłowa, po wojnie i rewolucji urzędował w G. P. U., był jakiś czas prawą ręką Mężyńskiego, poczem sam został szefem Czrezwyczajki.

7000

Pomysł kanału „Biełomorstroju" powziął Jagoda właśnie jako kierownik największej instytucji i organizacji karnej dla przestępców zwykłych i „politycznych". Niech kanał kopią i budują więźniowie i skazańcy, a jeżeli dzieła wiekopomnego dopełnią w żądanym terminie, wtedy jednym zmniejszy się i skróci resztę kaźni, innych całkiem wypuści i przywróci życiu socjalnemu i cywilnemu. W teorji i w doktrynie zamierzenie raczej chwalebne i piękne, w praktyce okazało się dość ciężkie i pociągnęło za sobą hekatomby takie, jak przy budowaniu... piramid egipskich. Wspaniałe dzieło zostało istotnie w ścisłym terminie zrealizowane i otwarte z wielkim triumfem.

12.484 byłych więźniów wypuszczono całkiem na wolność; wielu obdarzono nawet wysokiemi orderami (Lenina) i wciągnięto do administracji i pracy rządowej. Skrócono zaś czas kaźni 59.516 więźniom pracującym.

Trzecia jednak cyfra nie bywa podawana w oficjalnych komunikatach, wydawnictwach i albumach okazałych (i n f o l i o). Jest to siedem (7) tysięcy padłych, poległych, zatopionych, zamarzniętych. fizycznie zakatowanych, wygłodniałych, zaginionych, wyschłych, w błotach zagrzęźniętych. Siedem tysięcy! Procent — jak dla pojęć europejskich — olbrzymi, który tym razem wywołał falę oburzenia i zgrozy, nawet w Sowietach i przyćmił mocno blask i chwałę z dokonanego, wspaniałego dzieła.

REKLAMA

Otóż, aby nie tyle uspokoić opinję, ale, aby stłumić chmarę opowiastek, anegdot, a nawet dowcipów sarkastycznych na tle hekatomby Biełomorstroju, wpadli dwaj genjalni żydzi, kierujący budową, t. j.: H. G. Jagoda i Jakób Saulowicz Agronow na ideę wydania już wprost imponującej antologji pamiętnikowej, poświęconej rozgłosowi i chwale otwartego kanału. Komitet redakcyjny utworzyli: „wielki mogoł" literacki, sam Gorkij, dalej niedawno skompromitowany, a teraz znów przywrócony do prestiżu Awerbach i wreszcie Kamerad inżynier S. G. Firin, przy budowie kanału bardzo czynny i zasłużony. Do reklamy dzieła, widocznie lękkiej rehabilitacji potrzebującego, wezwano 35 najwybitniejszych autorów. Dano im taki a taki termin dostarczenia eklog i hymnów (prozą), pozwolono oglądnąć wszystko, objeździć, wybadać, wy notować..., no i jazda rebiata do roboty.

Wykonali swoje prace w 64 proc., w 120 proc., nawet w 150 proc. Nawet niektóre i krypto - progulszczyki i krypto - sabotażysty okazały się udarnikami pierwszej klasy. Nawet niektóre towarzyszki - pisarki wzięły udział w tym turnieju propagandowym (Seifulina), 35 autorów 35 reportaży, opisów, nowel, zaświadczeń, attestatów, superlatywów. No teraz już chyba nikt nie będzie wspominał i wypominał tych siedmiu tysięcy nieboszczyków, którzy pomogli wyratować się z katorgi 12.484!!

NA APEL

Na apel Awerbacha (Gorkiego i Firina), stawił się także do kollektywu reklamowego i najpopularniejszy dziś satyryk rosyjski, Michał Zoszczenko. I pracy swojej dokonał w szturmowem tempie ze wskaźnikiem 190 proc.

Jego wkład w panegiryk dla G. P.U. i Biełomorstroju w tłumaczeniu p. Broniewskiego, dał nam teraz najpopularniejszy polski literacki tygodnik.

Że atoli równocześnie w tłumaczeniu p. Pilichowskiej dostaliśmy z wydawnictwa „Roju" literacki utwór Aleksandra Awdiejenki: „Kocham", przeto mieliśmy okazję skonfrontowania tych dwóch nowalij sowieckich (z takim pośpiechem teraz stale dostarczanych) i po skonfrontowaniu... do dziwnych i dziwacznych dochodzimy wniosków. Taką samą niespodziankę i taką samą zabawę mogą sobie sprokurować i wszyscy czytelnicy.

Opowieść Zoszczenki jest... per siflażem Awdiejenki, czyli że niezależnie od siebie, może nie wiedząc nawet o sobie, ci ludzie obrobili „państwowotwórczo" literalnie ten sam temat, to samo zadanie i na ten sam manier..., biorąc za prawzór naszego... Urke Nachalnika

Ukaz, komanda, czy też „łozung", czy jak tam... było, taki:

„Złodziej to podszewka kapitalizmu"... Nadużycia, spekulacje, korupcja, żulictwo, przekupstwo, kubaniarstwo, rabunek, hochsztaplerstwo, doliniarstwo, kradzież morderstwo i wogóle w s z y s t k i e p r z e s t ę p s t w a, to są produkty ustroju kapitalistycznego. „Złodziejstwa, to podszewka kapitalizmu". Niema i nie będzie złodziejstw, rabunków, żulików, nadużyć tam,

„gdzie niema posiadaczy i bogactw i niema tych „świetnych" stosunków kapitalistycznych, które stwarzają, że tak powiem, podszewkę życia — rabunki, złodziejstwo i morderstwa — poto, żeby zawładnąć pieniędzmi innego".

„NASTĄPIŁ KRACH..."

Czy to będzie Sanka Golod ze Sobaczyna (utwór Awdiejenki), czy Abraam Izaakowicz Rothenberg z Tyflisu (utwór Zoszczenki), to oni będą abfalls - produktami, destruktami, bandytami, fałszerzami, rabusiami, łotrzykami, kokainistami, sutenerami... ale tylko w ustroju i w atmosferze moralnej w warunkach kapitalistycznych. Przeniesieni cudem lub przypadkiem, biegiem dziejów lub ukazem Czrezwyczajki, w klimat niekapitalistyczny zmieniają się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, może powolniej, ale w oczach... przy świadkach... Z niezdary robi się udarnik.. z kokainisty... jarosz, pijaczyna i alkoholik... popija herbatkę i zagryza „herbatnikami", Szaweł staje się Pawłem, cynik zaś apostołem, który prawi takie kazanka:

„Panowie, w naszym świecie przestępczym nastąpił krach. Należy to widzieć i rozumieć. Nowicjusze niech się łudzą nadziejami, a doświadczeni tak, jak bardzo wiele rozumieją i czują. W naszym świecie przestępczym nastąpił krach".

I to zdanko, że „w naszym świecie przestępczym nastąpił krach" powtarza się u Zoszczenki (satyryka) z jakieś dziesięć razy! Krach! Bankructwo przestępstw. Koniec przestępczości. Krach na złodziei! Złodziei..

„nie będzie, bo nikt nie będzie potrzebował kraść. I u kogo miałby kraść! Złodziej, to podszewka kapitalizmu".

U Awdiejenki (powieść „Kocham") odrodzenie moralne, oczyszczenie (k a t a r s i s) przychodzi na grzesznika maszynistę, Sankę Aleksandra w... Magnitogorsku; u Zoszczenki odrodzenie moralne, oczyszczenie, nawiedzenie, stan łaski, wielka przemiana przychodzi przy pracy nad „Kanałem Biełomorsko - Bałtyckim imienia Stalina".

Jeden i drugi piszą spowiedź „pamiętnik nawróconego", podobnie jak nasz Ferberowicz z Otwocka. Jedno i drugie imitacja, podróbka autentyku, falsyfikat, namiastek. Awdiejenki elukubrat prostacko, wulgarnie, eurazyjsko tendencyjny nie irytuje i nie przygnębia, natomiast przygnębia tendencyjna tandeta p r z e k u t e g o Zoszczenki.

UPOKORZENIE

Tak długo się trzymał opornie, samoistnie, autonomicznie, samodzielnie, hardo. Jak z rękawa, a raczej jak z rogu Amaltei sypał te małe, szare obrazeczki, te zdjęcia błyskawicznego talentu, te sztychy, sztyszki i te szkicki, te noveletty i humoretty. W Europie przyjęto go odrazu z otwartemi ramionami, jako godnego następcę Awerczenki. Sarkastyczne były te wycinanki z nowej proletarjackiej obyczajowości sowieckiej, niekiedy nawet zdumiewające śmiałem atakowaniem Marxistowskiej mentalności, ale choć wyszydzały i ironizowały, to jednak raczej... k a p t o w a ł y, niż odstręczały.

Ostatni utwór Zoszczenki, ten podrobiony rzekomy Pamiętnik p r z e k u t e g o na państwowego udarnika i entuzjastę G. P. U. międzynarodowego złodziejaszka, Rothenberga, raczej odstręcza, bo obrzydza. To tak, jak gdy u nas opozycyjnie piszący „postąpiliby w sanatory". Całkiem takie samo p r z e k u w a n i e. Pamiętnik cuchnie obstalowaną i kontrolowaną, gróboskórną, napastniczą, gradiuszczo - chamską tendencją. Nic a nic w tem niema z „Benvenuta Celliniego", jak z zabawną prymitywnością wypisuje sobie Zoszczenko, a wszystko jest dla cenzora błagonadiożnosti, Symchy Awerbacha. Urodzony satyryk pełnokrwisty, pełnowartościowy, wysokowalutowy satyryk, z wielkiej magnackiej pańskiej rodziny rosyjskich satyryków, ostatni, pokajał się, upokorzył i, jak ongi Szaliapin przed Mikołajem, tak Zoszczenko Michał przyklęknął przed byłym szefem G. P. U. Henrykiem Grigorjewiczem Jagodą... Czudotwórcą, który całe rzesze „martwych dusz" przestępców nawrócił (przekuł) z czarnych (charakterów) zrobił bielszych nad śnieg idealistów, z wreditieli... udarników.

Poroniony Pamiętnik kończy się takim groteskowym patosem:

„Za nowe życie tego człowieka gotów jestem ręczyć. Ale zastrzegam się: poręczyłbym tylko w naszych, niekapitalistycznych warunkach. Jeszcze raz życzę Rothenbergowi powodzenia i mam ochotę powiedzieć mu jego własnemi słowami: w waszym świecie przestępczym nadchodzi krach...

Chcę mieszkać w takim kraju, gdzie drzwi nie będzie się zamykało na klucz i gdzie zostaną zapomniane smutne słowa: rabunek, złodziej i morderstwo".

A JEDNAK... ZŁODZIEJSTWO KWITNIE

No, to będzie się musiał chyba ze Sowietów gdzieś przenieść Michał Zoszczenko.

Krach bowiem w świecie przestępczym tam nie nadchodzi.

W „niekapitalistycznych warunkach" złodziejstwo i złodzieje pozostali, a „drzwi się nie będzie zamykało na klucz", ale... raczej w kilku krajach skroś kapitalistycznych (Szwajcarja, Szwecja).

Michał Zoszczenko chyba dobrze i dokładnie wie ze swojej prasy, że w Z. S. R. R. nadal kradnie się dużo, kradnie się dużo więcej i c o n a m o r e. W „Krokodilu" stała o tem rubryka. W ostatnim roku idzie to nawet w galopującem c r e s c e n d o.

„Izwiestja" nr. 214 pisały:

„W rezultacie na . torach kolejowych widzimy olbrzymią ilość rozsypanego ziarna, które nieskończonemi wstęgami ciągnie wzdłuż szyn kolejowych... Dużo też zboża kradną podczas ładowania, a szczególnie podczas wyładowywania".

Redaktorowi Saulowi Wagmanowi („Nasz Przegląd" z 23-go października) opowiadał stary żyd w Moskwie:

„Niech pan się pilnuje złodziei w tramwajach, w kinach, w sklepach. Złodzieje pierwsza klasa, nie gorsi od „specjalistów" zagranicznych. „Żyletką" tak wytną portfel, że nic nie czuć.

Pozatem czem innem też nie pogardzą: binoklami z kieszonki, scyzorykiem z kieszeni.

— A bezpieczeństwo wogóle?

— Nie! zupełnie bezpiecznie. Napadów bandyckich niema, zresztą co zrabują?... Chociaż na odludziu mogą wyrwać kobiecie torebkę. Bieliznę wieszam w mieszkaniu, bo strych niepewny. Wczoraj w moim domu oderwano wszystkie kłódki od przegródek w szafce na listy dla lokatorów".

Według urzędowej „Prawdy" (październik) zboże z magazynów kolejowych wykradane jest masowo. W jednym tylko Kazakstanie z 220 magazynów usunięto za kradzież zboża 16-tu dyrektorów poszczególnych magazynów. I wogóle kradną też i przewodniczący gospodarskich kolektywów. Moskiewski tygodnik „Kooperacja i Torgowla" z października uskarża się, że ogrody warzywne robotnicze narażone są na wielkie straty, powodowane przez „wrogów klasowych" i „huliganów" (najgorsza obelga pod berłem Kaganowiczów), którzy gdzie niegdzie pozbawili właścicieli c a ł e j p r o d u k c j i (ogórków i pomidorów) „Kooperatywa i Torgowla" domaga się utworzenia wszędzie w Sowietach specjal nych uzbrojonych oddziałów (brygad szturmowych?) pilnujących li tylko warzyw i owoców.

Czy „upaństwowiony satyryk" Michał Zoszczenko nie czytał we w r z e ś n i u b. r. kronikę „borby" z żulikami, spekulantami, złodziejami i defraudantami w sklepach, składach, magazynach i „Torgsinach" rządowych... i o aresztowaniach już omal setek i tysięcy towarzyszów z fałszywymi wagami i miarami? (Tambow 150, Baku, Taszkient, Charków, Leningrad, Kijów 134, Moskwa 272)? Skąd się wzięli nagle w tak masowej liczbie towarzysze-złodzieje i żuliki?

WYMARZONY TEMAT

Jeżeli jednak satyryk sowiecki Michał Zoszczenko zaczął serjo wierzyć w to, że z wybudowaniem kanału „Biełomorstroju" przyszedł krach na wielkich i miałkich złodziei i żulików, no to odpowiemy mu tu na końcu prawdziwe zdarzenie z Petrogradu, marynarzom podane przez kolegów marynarzy, nigdzie dotychczas nie drukowane, a będące jakby gotową nienapisaną nowelką d a w n e g o sprzed roku 1933, sprzed Canossy... Michała Zoszczenki.

„W pewnej sowieckiej stołówce (koperatywie robotniczej) ginęły systematycznie łyżki do zupy. Oprócz łyżek widelce i noże. Wydadzą 500 łyżek przed obiadem, odbierają po obiedzie 300, wydadzą 600 otrzymują przy rachunku naczynia 350. Kierownictwo stołówki zrozpaczone kontroluje, szpieguje, wywiesza „plakaty" z admonicjami, z wersetami z Lenina, z groźbami. Nic nie pomaga.

Zrozpaczone wpada na genjalną ideę: ogłoszenie: obiady wydaje się, ale łyżki wydaje się za złożeniem kaucji w kwocie jednego rubla.

Pierwszego dnia wszystko poszło świetnie. Wydano towarzyszom 700 łyżek i 700 rubli zwrócono potem przy kasie. Zarząd stołówki zacierał ręce.

Drugiego dnia poszło: l e p i e j. Wydano 650 łyżek a otrzymano spowrotem 850. Trzeciego dnia wydano 600 łyżek, a otrzymano spowrotem 900 łyżek. Czwartego dnia zabrakło kasjerce rubli w kasie na zwrot kaucji, a jeszcze przed kasą ustawił się długi ogonek, niecierpliwy, urągający i klnący na zarząd stołówki.

Okazało się bowiem, że w pobliżu stołówki robotniczej był konsum, w którym można było łyżki kupować za 60 kopiejek... Towarzysze zaś w jadłodajni dostawali za nie po rublu".

Oto i temat, jakby wymarzony, czy dojrzały dla satyryka godnego Szczedrynów dla dawnego Zoszczenki, w którym tak zaczytywały się i „czorno robocze" i „kapitalisty" i Sowiety i Europa i Eurazja. Tego Zoszczenki już niema. O b i i t. Skończył się. Dokończyli go wciągając na listę państwowych, rządowych, oficjalnych. Został pieśniarzem, lutnistą nowoczesnych Faraonów, olśniewających Europę gigantami Termitów.

Po swoim powrocie z Moskwy dał H. G. Wells wywiad „Sunday Expressowi":

„Widziałem się znów także z moim starym przyjacielem Gorkim. Stał się straszliwym reakcjonistą. Chciałem przed nim bronić wolności słowa, odmówił poprostu wysłuchania tego co mówię".

I niema w tem żadnej przesady, jeżeli się wydefinjuje: eto zostało takie samo, jak za caratu. Kradnie się więcej, jak w kapitalistycznych ustrojach: Serwilizm i służalstwo (rabstwo) wzrosły. Gdzie jest tam dzisiaj autor i dziennik, któreby wydrukowały p e n d a n t do „Rodziny Obmanowych"?

Szkoda! Szkoda Zoszczenki!

Jan Korolec

Dawny Gdańsk w pamiętnikach Joanny Schopenhauer

Gdy się obserwuje powojenną politykę Gdańska, politykę tak konsekwentnie niemiecką, a tak nieliczącą się z bezpośredniemi interesami gospodarczemi miasta, zapomina się niemal o tem, że jeszcze w wieku 18-ym, przed rozbiorami dawnej Rzeczypospolitej, sytuacja przedstawiała się zupełnie odmiennie. Celem przypomnienia tych dawnych czasów chcemy zapoznać czytelników z wyjątkami z pamiętnika Joanny Schopenhauer, matki znanego filozofa niemieckiego, obejmującemi okres upadku Rzeczypospolitej, a malującemi przywiązanie gdańszczan do dawnej Polski *).

POLSKA PIASTUNKA

„Kasia była moją pierwszą nauczycielką, od niej nauczyłam się jeszcze wcześniej, niż mego ojczystego języka, mówić po polsku; tak chciał mój ojciec, w przeświadczeniu, że przez bardzo trudną wymowę tego języka nauczenie się później każdego innego będzie ułatwione. Wynik potwierdził tę zasadę. Natomiast po polsku nie nauczyłam się czytać, gdyż Kasia sama czytać nie umiała. Wieczorem przy udaniu się na spoczynek, gdy jeszcze prawie nie umiałam mówić, stawiała mnie ze złożonemi rękami przed stołem i uczyła modlitwy. „Niech nad tem czuwa Bóg Ojciec, Bóg Syn, Bóg Duch Św. Amen!". Kiedy zasypiałam, śpiewała Kasia czystym, drżącym głosem: „Teraz śpią wszystkie lasy", na zmianę „Teraz się dzień zakończył". Ja uważnie słuchałam dopóki mnie sen nie przemógł, i ani spoczywające: „zwierzęta, ludzie, miasta i pola" z pierwszej, ani „czarne nocne duchy" z drugiej piosenki nie wywarły nigdy najmniejszego złego wpływu na moją fantazję".

FLISACY

„W przezroczystej mgle pięknej północnej nocy letniej przedstawiają widziane zdala liczne małe ogniska prawdziwie romantyczny widok. Słychać stamtąd czarodziejsko brzmiące tony, co do których trudno zgadnąć, z jakiego pochodzą instrumentu. Z urodzenia są Szymkowie mistrzami w rodzaju Paganiniego, kiedy weźmie się pod uwagę, jakie trudności napotkałby ten wielki człowiek, aby na takim instrumencie o jednej strunie tak zaczarowane wydawał tony. Instrument Paganiniego jest tymczasem prawdziwym instrumentem, a jego struna jest rzeczywistą, nadającą się do użytku struną, ale wydobyć coś podobnego do melodji na zwykłych, żółtych skrzypkach, pomalowanych w kwiaty, które na Wielkim Moście sprzedają po parę groszy, to byłoby trudnem zadaniem dla tego wielkiego mistrza. Taki jednak sarmacki Orfeusz nie da się zmylić brakom takiego narzędzia, gra z uczuciem melodje posłyszane, albo wynalezione, w takcie prawdziwego poloneza, bo że o nutach nie może być mowy, rozumie się samo przez się. Zwyczajnie udaje mu się swych słuchaczów poruszyć do zapalonych tańców. Wziąwszy się parami za ręce, wodzą najwytworniejszego narodowego poloneza, albo się zabawiają wesołemi skokami również narodowego mazurka".

SZLACHCIC POLSKI

„Równie bogaty, jak malowniczy narodowy ubiór polski obecnie widuje się rzadko, albo wcale nie; w czasach, o których mówię, spotykało się go na wszystkich ulicach. Z wyjątkiem golonej głowy, którą jednak w osiemdziesiątych latach miewali tylko jeszcze starsi panowie, niema chyba żadnego innego, któryby piękną postać mógł przedstawiać więcej dodatnio, a zarazem przyzwoicie. Taki starosta. Wysoka czworoboczna czapka z aksamitu lub jedwabiu, nieco nabok przekrzywiona, ręka na bogatej rękojeści błyszczącej szabli, druga muskająca ozdobny wąsik, bogaty jedwabny żupan, przepasany kilkakroć przetykanym złotem pasem, a na wierzchu kontusz, podnoszący wzrost, z rękawami, zwieszającemi się na plecach. Występował on tak dumnie, jakby Boża ziemia była za mała, by całować mogła jego buty z żółtego safjanu".

PRUSAK NA POMORZU

„Siedźcie cicho, przygotujcie śniadanie dla lalek i ubierzcie je porządnie, ale zachowajcie się cicho, żeby was nikt nie słyszał — napominała nas Kasia, gdy mnie i moją siostrę Lottę w róg między oknem i szafą poprowadziła, gdzie mieliśmy miejsce do zabawy, które urządziłam, jako pokój mieszkalny dla lalek.

— Kasiu! Kochana Kasiu! — prosiłam — będziemy cicho, jak myszy, ale tylko mi powiedz, co się stało? Ach, powiedz mi, bo ja tak się boję!

— Tak, naprawdę nieszczęście, i to wielkie — odpowiedziała Kasia — ale wy, dzieci, tego nie rozumiecie. Prusak przyszedł w nocy, dlatego bądźcie grzeczne — dodała i odeszła.

Gdyby powiedziała: lew, tygrys, niedźwiedź, mogłabym z tem powiązać jakąś myśl, ale Prusak! Nie pojmowałam zupełnie, co ona przez to rozumie, a właśnie to niezrozumiałe pomnażało moją trwogę.

Tego poranka ogarnęło nieszczęście, jak wampir, moje miasto, przeznaczone na zgubę, i wysysało je przez całe lata, aż do całkowitego wyczerpania szpiku życia".

NIENAWIŚĆ DO PRUSAKÓW

„Przez wiele dni wisiała, jakby ciężka burza w powietrzu; my, dzieci, nie słyszeliśmy przyjaznego słowa, wszyscy ludzie w domu przechodzili milczący około siebie. Tylko na parę godzin w ciągu dnia przychodził ojciec z Ratusza, i to z tak zasępionem obliczem, że ja z siostrą Lottą uciekałam do moich lalek, kiedy go tylko zdaleka ujrzałam. Gniew obywateli, potęgowany do rozpaczliwej wściekłości przez uczucie bezsilności, kiedy ustało pierwsze przerażenie, w zaciętej, coraz większej nienawiści do Prusaków i wszystkiego, co było pruskie, niebawem przerodził się w silne postanowienie bronienia ostatniej nędznej złudy dawnej wolności, która jeszcze pozostała i do oddania wszystkiego, ciała i życia, mienia i dostatku".

SZYKANY PRUSKICH CELNIKÓW

„Oburzający sposób obchodzenia się, na który narażeni byli mieszkańcy Gdańska, bez różnicy płci, skoro tylko chcieli przekroczyć granice, tak ciasno im zakreślone, musi wydawać się w naszych, daleko humanitarniejszych czasach, zgoła nie do wiary. Każdego pieszego akcyza zatrzymywała i musiał to uważać za wielkie ustępstwo, gdy dla przekonania się, że nie posiada nic nadającego się do oclenia poprzestano na przeszkaniu kieszeni. Najemne pojazdy, jak i powozy przeszukiwano, jak zwykłe wozy chłopskie, z największą dokładnością. Kobiety i dzieci musiały nieraz na największym deszczu wysiadać ze swych wozów i czekać cierpliwie wśród szyderczych śmiechów swych prześladowców pod gołem niebem, dopóki im się nie spodobało dokończyć powoli przeglądu nawet najtajniejszych zakątków w powozie. Potem zaczynała się rewizja osób. Nawet w swych wiejskich domkach, zarówno we Wrzeszczu, jak i dalej, na Oliwie położonych, mieszczanie gdańscy wystawieni byli na szykany tych obcych celników. Rewizje domowe w poszukiwaniu kontrabandy, którym nikt nie mógł się oprzeć pod groźbą ciężkiej kary, codziennie się zdarzały, a wąchacze kawy, tak nazwani od swego zaszczytnego urzędu, myszkowali w podwórzach, domach i kuchniach, szukając zapachu świeżo palonej kawy, gdyż w granicach państwa pruskiego wolno było sprzedawać tylko kawę paloną".

PRZYSIĘGA

Wuj autorki pamiętników krzyczał w gniewie na Prusaków: „Hamilkar nakazał swemu synowi Hannibalowi zaprzysiąc przy ołtarzu nieprzejednaną nienawiść do Rzymian — każdy gdański obywatel musi uważać za swój obowiązek iść za tym wielkim przykładem i nakazać dzieciom, bez różnicy płci, złożyć takie ślubowanie przeciw Prusakom".

*) „Sprawy morskie i kolonjalne" Zeszyt I: Ks. dr. Tadeusz Pomian-Kruszyński „Gdańsk i zachowanie się gdańszczan wobec Prus w oświetleniu pamiętników Joanny Schopenhauer".

S A T Y R A

Taki-a-taki

Komentarze do popularnych powiedzeń

— Co słychać? — zapytano głuchego przez zepsuty telefon.

*

— Mowy niema! — powiedział niemowa.

*

— Niech się pan nie unosi — krzyknął ktoś do lotnika, który startował właśnie do lotu balonem.

*

— To świetnie się składa! — powiedział jeden pan i złożył parasol.

*

— Z ust mi pan wyjął! — wykrzyknął pacjent do dentysty, który mu właśnie wyrwał ząb.

*

— Nie przesadzajmy! — rzekł ogrodnik do swego pomocnika, który zaczął przesadzać kwiatki z grządki na grządkę.

*

— Hajda trojka! — krzyknął jakiś jegomość, wskakując do „trójki" na ulicy Marszałkowskiej.

*

— Co to za metody!? — wykrzyknął św. Cyryl, ujrzawszy po raz pierwszy swego późniejszego towarzysza z kalendarza — świętego Metodego.

*

— Im wcześniej, tem lepiej — powiedziała młoda mężatka, rodząc dziecko nazajutrz po ślubie.

*

— Dzieci i ryby głosu nie mają! — krzyknęła ryba do swego wrzeszczącego dziecka.

*

— Bądźmy jako te dzieci! — powiedział pewien starszy pan i zrobił w majtki.

*

— Sędzia kalosz! — wykrzyknął niesłusznie skazany na śmierć do przewodniczącego sądu.

Very

Z pamiętnika małego Felusia

Wienc rzem beczał ibeczał łasz przyszet wójek Stefcio imnie ściskał icałował imówił rzebym niebeczał, łale jarzem niechciał przestać beczyć łasz mi powji kiedy się skończy fryzys. Wienc wójek pomyślał, pomyślał ipowjedział, że się fryzys skończy niedługo. Łale jarzem wcionsz beczał i beczał wienc wójek się rozezłościł i powjedział:

— Czegusz ty ryczysz umniażu jakrzem ci powjedział że się fryzys skończy niedługo?

Wjenc jarzem beczał i beczał bo chciałemby rzebym wjedziałem dokładnie. Wjenc wójek łusiat i zaczoł rachować i rachować łasz powjedział, że fryzys się skończy za puł roku. Łale jarzem wcionsz beczał i jeszcze chciałem rzebym wiedziałemby całkiem dokładnie. Wjenc wójek kloł i rachował irachował łasz powjedział, rze się fryzys skończy we ftorek siudmego wżeśnia ło godzinie jedynasty pszed połódniem. Ale jarzem jeszcze beczałem wienc wójek zawył, jak Wilk i dał mi raz w łeb, a puźni stłuk kałamasz i znuf łusiat i rachował łasz się spocił i nimug wyrahować czy się fryzys skończy ło jedynasty minót sześć czy ło jedynasty minut łosiem, wienc jarzem beczałem ibeczałem, łasz wójek się zrobił zielony i blady ipowjedział:

— Nieh cię holera ściśnie — na moje rezyko — ło jedynasty minut siedem.

Wienc jarzem uwjeżyłem i pszestałem beczyć.

* * *

(Urywek ten rzuca być może znamienne światło na zeznania p. red. Fryzego, b. właściciela „Kurjera Porannego". Oświadczył przed sądem, że wierzył p. min. Starzyńskiemu, iż kryzys skończy się za pół roku. Przyp. „Satyry")

Świątopełk Karpiński

Nagus i „Zachęta"

Bajka

(Na rocznicę pewnego pomnika. Przy sposobności autor zastrzega, że żartując z dzieła sztuki, daleki jest w swych intencjach od ośmieszania celów, dla których zostało ono stworzone.).

Tyć, albo nie tyć!? — Oto moje jest pytanie.
Bo nago położony wstać nie jestem w stanie.
Grubemu zasię ciepło, a chudemu łatwiej
zeskoczyć, by nie leżeć, jak nagus na tratwie...
Przed rokiem mnie zaczęto, na tej to zasadzie,
że stawiając pomniki, czasem je się kładzie.
Wpierw mnie Wittig nie ubrał, odslonięto potem.
rozebrano krytycznie, obrzucono błotem,
odarto z zalet jeszcze, obnażając wreszcie
kulisy... mej nagości. Tak leżą na mieście.
Plażuję pośród mrozów, co szaleją wokół.
Nie odchodzę, bo stopę mam wtopioną w cokól.
Czy wisi deszcz marcowy, czy lipcowa susza,
ja nie mam parasola, ani akpelusza.
Mam: — plecy, jak sam Wittig, lecz nie mam talentu.
Więc cierpię na skręt szyi od jego wykrętów,
a nie mogę sam zostać też rzeźbiarzem przednim,
i położyć Wittiga na skwerku sąsiednim,
w takiej samej pozycji i tak samo nago,
by potem go odsłonić z tą samą powagą...
Dziś jedyną osłodą poziomego stanu,
są mi spojrzenia dziewcząt, oraz starszych panów.
Pytam kostniejąc, z dłonią boleśnie przegiętą:
Czy legła wpierw „Zachęta", czy ja przed „Zachętą"?
Bo piszą wielbiciele w listach nadesłanych,
„Tyś „Zachętą" dla bardziej... wyrafinowanych".

Janusz Minkiewicz

Swiatopełk Karpiński

Fragmenty z „Warszawskiej Szopki Politycznej 1934-35"

W sobotę, 3.XI odbędzie się premjera „Warszawskiej Szopki Politycznej 1934 — 1955" Świątopełka Karpińskiego i Janusza Minkiewicza. Drugi akt tej szopki będzie „wizją przyszłości" i rozgrywać się będzie w roku 1955-ym.

Tak jak w roku ubiegłym drukować będziemy parę fragmentów z tej szopki. Na pierwszy ogień pójdą dwie piosenki Kadena: pierwsza współczesna, a druga po dwudziestu latach!

1934

KADEN (śpiewa na mel. „Warszawianki"):

Oto dziś dzień krwi i chwały,
Wszystko ma radosną treść:
Kędy spojrzę obrus biały,
Szkoda, że nie mogę jeść.
Biwakuję w modnym fraku,
Tutaj toast, mowa tam,
To dla wodza i rodaków,
Już wątrobę chorą mam.

Hej! Kto Polak na bankiety
Czarne skrzydła ma mój frak,
Trzeba siłę mieć atlety,
By teatry kłaść nawznak!

Nie mam czasu już dla pióra,
Wśród godności, posad, mów,
Więc wynajmę sobowtóra,
Co napisze Bigdę znów.
Pięć teatrów muszę niańczyć,
W przedpokoju moim tłok,
Ale ja się uczę tańczyć,
Żeby balet wziąć za rok!

Hej! Kto Polak, niech bilety
Weźmie do teatrów mych —
Nie dopłacam, bo, niestety,
Sztuka jest w warunkach złych.

Jeden tworzy, drugi tworzy,
Ten orzeka, tamten gra,
Ale Kaden wszystko może,
Kaden się na wszystkim zna!
Tańczę lepiej od Wieniawy,
Śpiewam, jak Junosza sam,
Mam od Własta więcej sławy,
A od Sławka włastwo mam!

Hej! Kto Polak na bankiety!
Żryj swobodnie, Polsko żryj!
Między stołem a klozetem
Trąbo nasza głośno brzmij!

1955

Nie ośmieszy mnie już żaden,
Pamflecista, pisarz, drań:
W rządzie Kaden, w sądzie Kaden,
Nawet Kaden w „Związku pań"!
Zajęć mnie przytłacza ogrom
I najwyższych godność rang:
Mam trzy cyrki i welodrom,
Oraz emisyjny bank!

Hej! Kto Polak na banknoty
Z mego banku niech się zda.
Bo na giełdach świetne noty
Kraj Kadena wszędzie ma!

Niepodległość mej Kadenji
W „Lidze" mi przyznano już.
Na fotelach Akademji
Zasiadł szofer mój i stróż.
Piszę „Bigdy" w twórczym żarze
Sto dwudziesty ósmy tom!
„Bigdą" tapetować każę
Każdy urząd, każdy dom!

Hej! Kto Polak na balety
Do opery śpieszy mej,
Ale licznych mych, niestety,
Dzieł czytają coraz mniej.

Mam teatrów dwieście cztery,
Własny teatralny trust,
Grywam same w nich premjery,
Bo nazajutrz klapa jest!
Sam pokrywam wszystkie braki
I aktorów rodzę sam.
Mam batalion własnej klaki
I kwiaciarnię własną mam!

Dalem zajęć moich zarys,
Oto sławy mojej gmach,
Lecz „S Z Y F - MANE-TEKEL-FARES"
Często widzę w moich snach!

Słowniczek wyrazów obcych

Poliandrja — jedna z wysp w archipelagu Polineczyjskim.

konkieta — sport konny, podobna do krokieta.

abulja — pochodzi od „bulić", oznacza niemoc w płaceniu.

fingować — dotykać palcami.

spirocheta — raca, spadająca spiralnie.

karbunkuł — 14-karatowy djament w koronie angielskiej dynastji.

witalny — ktoś często witany.

witamina — przyjemna mina przy powitaniu.

prerogatywy — wyroby rogowo gumowe.

kantyczki — drobne oszustwa.

kamaryla — Maryla K.

blady — Lady B.